Cena numeru 10 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok I 17 Listopad 1946 Nr. 15

W WARSZAWIE ODBUDOWUJE SIĘ W PRZYSPIESZONYM TEMPIE GMACH SEJMU



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

– Popatrz, popatrz! Taki duży budynek, a tylko jedna Izba!

LEON PASTERNAK

Łabędziu mój...

Prując piersiami wód lazury,
płynie se łabędź śnieżnopióry.

Na to ma piersi od Natury,
aby rozpruwać wód lazury.

Płynie więc biedna ta ptaszyna
— stary rekwizyt z Lohengrina.

I nie wychodząc nigdy z wody
nie wie, że wyszła całkiem z mody.

Że jest wspomnieniem dla ramola,
jak grat, jak gorset, jak gondola.

Że się przysłowie ukuć może:
Nudny jak łabędź na jeziorze

„Łabędziu mój, łabędziu cudny,
dlaczego jesteś taki nudny?"

A na to łabędź: „Drogi panie,
stojąc na moście, na Lemanie,

Pan ze wszystkiego sobie kpi tu
I nawet mnie obdziera z mitu.

Kto pana prosił do Szwajcarii?
Czego pan tknie się, pryska czar !

Pan się tam bawi, pan się śmieje!
Lecz czy się wszędzie dobrze dzieje?

Pan ma wyraźny jakiś uraz!
Bo czy się lepiej dzieje u was?

Jak do bogatej ciotki w gości
przyjedzie pętak — to zazdrości.

Czyżby przyjechał Pan tu w gości,
cierpieć na kompleks swej niższości?

Czy tak się godzi? Czy wypada?
A zresztą... wogóle z łobuzami nie gadam..."

To rzekłszy, prując wód lazury,
odpłynął łabędź białopióry.

Genewa, wrzesień 46 r.

Obywatel Rózga ma głos



Dużo u nas, można powiedzieć, w cały kraju rozmaitych braków, ale jeśli chodzi o obchody i wyższe szkolnictwo ku czci, rocznice, jubileusze i inne odświętne kombinacje, to faktycznie mamy tego poniekąd pod dostatkiem. I nic dziwnego, bo smykałka w naszym narodzie taka, że zawsze jakąś okazję do uroczystości się znajdzie.

Ot, naprzykład zaszedłem w ub. sobotę do Obywatela Czyżyka.

— Tak i tak — powiadam trochę zdziwiony — radia słuchałem, gazety czytałem, nic się nie kroi.

— Jakto — nie kroi? — zapytał Czyżyk.

— Ano, względem obchodu. Nic jubileuszowego niema na dzień dzisiejszy.

— Tak myślisz? — zastanowił się mój przyjaciel. — E, to chyba niemożliwe. Czekaj, poszukamy.

Wsadził na nos okulary i organa opinii publicznej zaczął od deski do deski przeglądać. Nie trwało zbyt długo, gdy krzyknął:

— Jest, jest, bracie kochany!

— Co takiego?

— Czytaj: „ministrowie Wielkiej Czwórki zebrali się dzisiaj na setnej sesji od chwili ustanowienia rady w Poczdamie w lipcu 1945 roku..." Setna sesja, rozumiesz,— znaczy się — jubileusz.

— No, dobrze, Czyżyk, — mówię — ale dlaczego o tym drobnym drukiem i w ogóle żadnego programu uroczystości nie widzę?

— Nie ma czego obchodzić — orzekł stanowczo Czyżyk. — Do jubileuszu, wiadomo, trzeba jakiejś działalności. Niby żeby pochwalić i gratulować. A tu co? Do stu razy a żadnej innej sztuki tylko: „nie powzięto narazie decyzji", „odesłano do komisji", „posiedzenie trwało tyle i tyle godzin", „sesja została odroczona"... No, ale nie martw się, Rózga, może, powiedzmy, do jakiejś pięćsetnej sesji coś załatwią, toby się wówczas obchodziło ku czci.

To powiedziawszy Czyżyk zapalił papierosa i zaczęliśmy znowu rąbać dzienniki. Nie wiem, czy mój przyjaciel ma lepszą głowę ode mnie, ale faktycznie coś znalazł, bo stwierdził sucho:

— W Bawarii, w Niemczech jubileusz. 163.000 hitlerowców zdenazifikowali.

Aż podskoczyłem na krześle.

— Bój się Boga — krzyknąłem, — tak szybko?

— A tak — kiwnął głową Czyżyk. — Urzędy niemieckie do odbronzowienia brunatnych lepiej pracują, niż rada ministrów Wielkiej Czwórki. U nich rezultat piorunujący: na 163.000 facetów, którzy się wieszali przy Hitlerze i na rozkaz Hitlera wieszali ludność krajów okupowanych, skazano tylko 49 winych.

— 49 na 163.000? A reszta?

— Reszta, uważasz, to uwiedzeni.

— Uwiedzeni? Co to znaczy?

Czyżyk wzruszył ramionami. —

— Ja sam — rzekł — nie wiem i nie rozumiem. Niby ci od oczyszczania Niemiec twierdzą, że Hitler miał takiego wabika, że mało kto mógł mu się oprzeć i dlatego się tak wszyscy angażowali na ochotnika do SS, SD i SA.

— I ty w to wierzysz? — zapytałem oburzony mego przyjaciela.

— Głupi by uwierzył — odpowiedział uprzejmie Czyżyk. — Nawet Amerykanie nie chcą. Sam generał Clay oświadczył, że tu się coś nie klei. Że kombinacja z tym czarem jest trochę nienormalna i podjeżdża kantem. Zresztą Clay pojechał poradzić się swojego prezydenta.

— Trumana?

Czyżyk spojrzał na mnie zdziwiony:

— Naturalnie, że Trumana. A kogóżby?

— A bo ja słyszałem — pochwaliłem się przed Czyżykiem — że Truman ma podobno posadę zmienić. Nie jego partia w wyborach amerykańskich wygrała.

Przyjaciel mój roześmiał się głośno.

— A cóż to szkodzi? — powiedział. — Dopasuje się i do nowej partii, tak jak dopasował się do Byrnes'a, a nie do Wallace'a. To zdolny człowiek: nie to, co Roosevelt.

Chciałem zagadnąć Czyżyka, — czy to o Roosevelcie (nasz dom jest przy ulicy jego imienia) powiedział na serio czy na lipę, ale w tej chwili weszła żona, pytając, co taki smród.

— Kuchnia — rzekła — kopci, czy co?

— Nie — odparł Czyżyk — to z papierosów „Wolność". Jubileuszowy gatunek naszego Monopolu Tytoniowego.

W ZWIĄZKU Z PROCESEM „GORALENVOLKU"



Rys. Kazimierz Grus

„Dla chleba, panie, dla chleba..."

PO WYBORACH W USA NIEKTÓRZY PRZYJACIELE PREZYDENTA TRUMANA RADZĄ MU USTĄPIĆ



Rys. Henryk Tomaszewski

Być, albo nie być...

KAROL KOWASKI

PRZEKAZ

Gdy literat Hilary Parnasiński zobaczył w tygodniku swoją nowelę — nie posiadał się z radości. Tym więcej, że nie posiadał już prawie grosza przy duszy.

— Patrz, Zosiu! — zawołał do żony — Jest moja nowela!

— Pokaż! A rzeczywiście! Jaka długa! Ciekawe ile zapłacą?

— Murowane trzy tysiące — zapewnił Hilary.

— Tak dużo?

— Dlaczego dużo? Kto wie, czy nie dadzą cztery!

— No, nie przesadzaj...

— Skąd znowu! Nie zdziwiłbym się, gdyby przesłali piątkę... I cóż to jest właściwie pięć tysięcy? Najwyżej 50 przedwojennych złotych. Za taką nowelę przed wojną dostałbym setkę.

— Co ty mówisz? No to możliwe, że dadzą trzy.

Rozpoczęło się oczekiwanie na przekaz. Wreszcie po dziesięciu dniach nadszedł list z redakcji. Tytułując Hilarego „Drogim Mistrzem", redakcja prosiła o przesłanie nowej noweli i zawiadomiła, że „w tych dniach wysyła honorarium. W tydzień później Parnasińscy, przeliczywszy swój majątek, stwierdzili, że posiadają raptem 12 złotych: dziesiątkę i dwuzłotówkę. Była to sobota.

— Dziś przyjdzie przekaz! — powiedział Parnasiński z przekonaniem.

— Codziennie tak mówisz...

— Daję ci słowo! Mam przeczucie... A zresztą — musi przyjść! Mamy nóż na gardle. Trzeba wykupić bieliznę z pralni. A poza tym jutro idziemy do Fistaszkiewiczów na jego imieninv. Trzeba kupić kwiaty.

— Koniecznie. Ile, myślisz, przyjdzie?

— Mówiłem ci już: piątka.

— E, tam! Dałby Bóg, żeby cztery.

— A ja czuję, że się miło rozczarujemy. Jeśli dadzą dziesiątkę od wiersza, to będzie prawie sześć. I cóż to jest dziesięć złotych? Dziesięć groszy przedwojennych! Najniższe honorarium.

— No ,nie przesadzaj. I cztery przyjąłbyś z pocałowaniem ręki.

— Która to godzina? — spytał literat.

— Jedenasta.

— To listonosz już powinien przyjść.

Nagle rozległ się dzwonek.

Listonosz! — zawołał Parnasiński z wypiekami na twarzy.

Popędził do drzwi

— Biedna prosi... — oznajmiła staruszka w okularach.

Gdy Parnasiński wrócił do pokoju, małżonka zapytała go:

— Nie listonosz?

— Narazie uboga.

— Ile jej dałeś?

— Dziesiątkę

— Bój się Boga! Poco tak dużo?

—No, i tak dziś będziemy mieli grubszy grosz. A i tak dziesiątka by nas nie zbawiła.

— No, zawsze trzy bułki...

Literat wzruszył ramionami. Znów rozległ się gwałtowny dzwonek. Tym razem pobiegła do drzwi Parnasińska.

— Repatriant prosi... w ciężkim położeniu...

Parnasińska dała mu dwa złote. Ostatnie.

— Kto? Ubogi? — spytał Parnasiński ze zdenerwowaniem.

— Tak. Myślę że na listonosza jeszcze za wcześnie...

— Pewnie. Dałaś mu?

— Tak. Ostatnie dwa.

Znów gwałtowny dzwonek.

— Teraz napewno listonosz! — zawołał Parnasiński i podbladł z emocji.

— Inwalida wojenny doprasza się łaski państwa...

— Niech Pan Bóg opatrzy! — zawołał literat opryskliwie.

— A ciebie, łachudro, niech Pogotowie opatrzy!.. — krzyknął bezczelny żebrak z pogardą.

Masz, jeszcze wymyśla. Gałgan! — irytował się Parnasiński.

Parnasiński uspokajał się powoli. Wziął do ręki tygodnik ze swoją nowelą i zaczął ją czytać po raz trzydziesty w życiu.

Dzyń! Zadźwięczał dzwonek.

— Ja otworzę! — zawołał literat i popędził do przedpokoju. Na progu stał autentyczny listonosz, w ręku trzymał przekaz.

— Proszę, proszę! — wołał Parnasiński z nerwowym podnieceniem.

Listonosz bez słowa wszedł do pokoju.

— Zosiu! — zawołał Parnasiński — tam w karafce jest jeszcze trochę wódki. Daj naszemu miłemu gościowi! Napije się pan, co?

Listonosz patrzył na literata ze zdziwieniem.

— Oczywiście, że pan się napije — stwierdziła pani Zosia — dziś chłodno, to dobrze wypić kieliszek! Podała pocztowcowi prawie pełny duży kielich. Ukłonił się grzecznie i bez słowa golnął całą porcję.

— Dobra? — spytała pani Zosia.

— Pierwszoklaśna! — przyznał listonosz.

— No, to ślicznie! Zakąsić akurat tak nie mamy pod ręką... — zabrał głos literat. — No, a teraz — prosimy nóżki na stół! Ile pan dobrodziej nam przyniósł?

Listonosz spojrzał ze zdumieniem na Parnasińskiego.

— Państwu?... Nic. Ja mam przekaz dla jakiegoś Pikulińskiego Zdzisława. Na trzy tysiące sześćset złotych. I nie wiem gdzie ten jegomość mieszka.

Adres niedokładny. Zadzwoniłem do państwa, żeby zapytać, czy to przypadkiem nie sublokator u państwa...

— Pan Pikuliński mieszka u sąsiadów — wyjaśnia głuchym głosem pani Zofia.

— Tych z lewa?

— Tak.

To serdecznie dziękuję! I za wódeczkę też. Doskonała była! Rozgrzałem się faktycznie!

Gdy zatrzasnęły się drzwi za listonoszem, literat zapalił ostatniego posiadanego papierosa i powiedział drewnianym głosem:

— No, to już dzisiaj nie przyjdzie... A jutro niedziela.

I po chwili dodał:

— A tych konserw już nie ma?

— Nie. Wczoraj zjedliśmy ostatni „pork and rice".

—Taak... No — nic! Do jutra wytrzymamy. A o czwartej jutro pójdziemy do Fistaszkiewiczów. Tam się najemy.

— Jakże pójdziemy, tak bez kwiatów?!

Parnasiński wzruszył ramionami.

— Wierszyk mu napiszę. Będzie miał więcej niż kwiaty. Kto to słyszał mężczyźnie kwiaty dawać? — odparł.

Pani Zosia westchnęła i sięgnęła po podartą pończochę i motek przędzy. Parnasiński machinalnie wziął do ręki numer tygodnika z jego nowelą. Ale zaraz odrzucił go z obrzydzeniem.

— Cholera! — zaklął cicho.

— Co mówisz? — spytała żona obojętnie.

— Nic. Mówię, że śnieg padał



(„The People")



(„The People")

STEFAN GAJOS

REKORDZISTA GRAFOMANII

Odbierając pewnego dnia z rąk Tymoteusza Koperty honorarium od jednej z redakcyj, nie przeczuwałem owych straszliwych perypetyj, w jakie miał mnie wpędzić ten młody listonosz.

Gdy podpisałem już pokwitowanie, spytał:

— Dużo pan musiał napisać za tę kwotę?

— Dwie strony maszynopisu — odparłem.

— I za to dostał pan 500 złotych? — zdziwił się. Myślał przez chwilę, jakby obliczając coś, później dodał: Przecież na dniówkę można napisać lekko 40 stron, zarabiając jak obszył 10.000 złotych. Daje to ćwierć miliona miesięcznie, a jeśliby przyłożyć się jeszcze w godzinach nadliczbowych, to można dociągnąć i do pół miliona!

Roześmiałem się ubawiony, lecz Koperta powiedział stanowczo:

— Od dzisiaj rzucam pocztę i biorę się za literaturę!

Usiłowałem odwieść go od tego szaleńczego zamiaru, lecz żaden z moich argumentów nie trafił mu do przekonania.

Zjawił się u mnie w parę dni później. Był już w ubraniu cywilnym. Po przywitaniu się wręczył mi jakąś księgę.

Jak przekonałem się, był to zbiór poezyj Tymoteusza Koperty. Na dwustu stronach maszynopisu zawierających conajmniej trzysta utworów, których przeważającą ilość stanowiły sonety, nie brak jednak było elegii, ballad, improwizacyj oraz wierszy do sztambucha, eks-listonosz pastwił się w bestialski sposób nad rymem i rytmem, rozpoławiał niektóre, a kaleczył inne części mowy, gwałcił bezecnie ortografię. Na końcowej stronie widniał wykaligrafowany pięknie napis: „Prawa przedróku i pszekładu zaszczeżone".

Gdy zamknąłem księgę opanowany szczerym współczuciem dla naszego ojczystego języka, Tymoteusz Koperta powiedział triumfalnie:

— Widzi pan! Norma wypełniona — za pięć dni dwieście stron!

— Z normą jest w porządku — przyznałem. — Tylko... ten rodzaj twórczości, moim zdaniem, nie odpowiada panu. Każdy musi trafić na swój, że tak powiem, genre. Spróbuj pan z innej beczki.

Następnym razem przyniósł rozprawę filozoficzną na temat wartości śmierci w życiu człowieka, a kiedy odradziłem mu i ten rodzaj twórczości, przybył po tygodniu z powieścią współczesną, napisaną takim językiem, że przy czytaniu jej nie mogłem ani na chwilę pozbyć się wrażenia, że gryzę kotlety ze żwiru.

Odtąd zjawiał się regularnie co parę dni, przynosząc to esseye czy biografie, to pamiętniki lub zbiory bajek. Karmiony jego niestrawnymi produktami literackimi dostałem obstrukcji, popadając wskutek tego w stan nerwowego naprężenia i obojętności do życia.

Wreszcie postanowiłem zdobyć urlop i gdy przyszedł do mnie pewnego dnia z tomem listów z podróży dookoła świata, rzekłem po przeczytaniu tego tomu:

— Zdaje się, że znajdujemy się już blisko pańskiego rodzaju uzdolnień literackich. Mam myśl — niechaj się pan weźmie za powieść kryminalną. Aby długą, conajmniej na tysiąc stron. Jest duże zapotrzebowanie na takie rzeczy.

Miałem spokój przez pięć tygodni. Zacząłem powracać do zdrowia i widzieć życie w dawnych, jasnych kolorach. Atoli w szóstym tygodniu stawił się Tymoteusz Koperta, taszcząc pod pachą grube tomisko.

— Proszę — rzekł kładąc je przede mną na stole, to powieść kryminalna pod tytułem „Wyspa mordu". Zostawiam ją panu do oceny. Zgłoszę się jutro.

Przeczytałem powieść wieczorem. Była to historia rozgrywająca się na jakiejś wyspie o kilkudziesięciu tysiącach mieszkańców. Każda z tysiąca dwustu stron maszynopisu grzmiała salwami rewolwerowymi i egsplozjami bomb, każda ociekała krwią. Terroryzująca wyspę banda zabójców o nazwie „Czerwony szesnastokąt" wymordowała całą ludność, później zaczęła się mordować między sobą, aż pozostał tylko herszt, którym okazał się sam prezydent wyspy. Herszt zginął także i to śmiercią najstraszliwszą. W czasie burzy przygniotło mu nogę walące się drzewo. Nie mogąc oswobodzić się, opryszek umarł z pragnienia i głodu, kąsany przez moskity skorpiony, komary, pszczoły i muchę tse-tse.

Po przeczytaniu „Wyspy mordu" miałem okropną noc. Gnębiły mnie potworne sny, a rano żona opowiedziała mi, że drżała o swoje życie, gdyż wykrzykiwałem do niej co chwila: „Ręce do góry! Teraz twoja kolej!"

Nazajutrz powiedziałem Tymoteuszowi Kopercie:

— Powieść napisana jest z rozmachem. Jednakże jej treść poszła po linii najnowszego rodzaju przestępstwa, przeciwko któremu wystąpił ostatnio cały świat, mianowicie po linii t.zw. ludobójstwa. Obawiam się, że żaden z wydawców nie będzie chciał wydać jej, na wszelki jednak wypadek niech spróbuje u Tukhana w Warszawie.

Po dwu tygodniach Tymoteusz Koperta przyszedł z mniej pewną miną.

— Otrzymałem powieść spowrotem — rzekł. — Nie rozumiem co ma znaczyć odpowiedź Tukhana.

Wręczył mi list wydawcy warszawskiego zawierający krótką treść: „Prywatny ubój zabroniony. Zwróć się pan do rzeźni miejskiej".

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymałem wybuch śmiechu.

Uprzedziłem pana — odezwałem się — „Wyspa mordu" jest za ponura. Spróbuj pan coś lżejszego.

Po trzech tygodniach zjawił się znowu, przynosząc „Komedię pomyłek" Szekspira, przepisaną czyściuteńko z tłumaczenia Kasprowicza i zaopatrzoną nowym tytułem: „Strzeż się bliźniąt!"

Przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Podniosłem słuchawkę telefonu i nakręciłem numer jednego z moich przyjaciół, komendanta milicji. Gdy zgłosił się, zapytałem:

— Czy komisariat milicji śledczej?

— Zgadza się — padła odpowiedź.

— Czołem! Co słychać?

— Chodzi mi o następującą sprawę. Cały świat usiłuje od dawna rozwiązać tajemnicę pewnego Anglika nazwiskiem Shakespeare. Poszukujecie go jeszcze, prawda?

Przyjaciel mój nie zrozumiał w pierwszej chwili, później jednak roześmiał się.

— Oczywiście. Czy zdobył pan może jakieś ciekawe szczegóły tej sprawy?

— Zdębieje pan! Otóż — William Shakespeare znajduje się właśnie w moim mieszkaniu. Proszę przysłać po niego paru milicjantów.

Położyłem słuchawkę na widełkach i obejrzałem się.

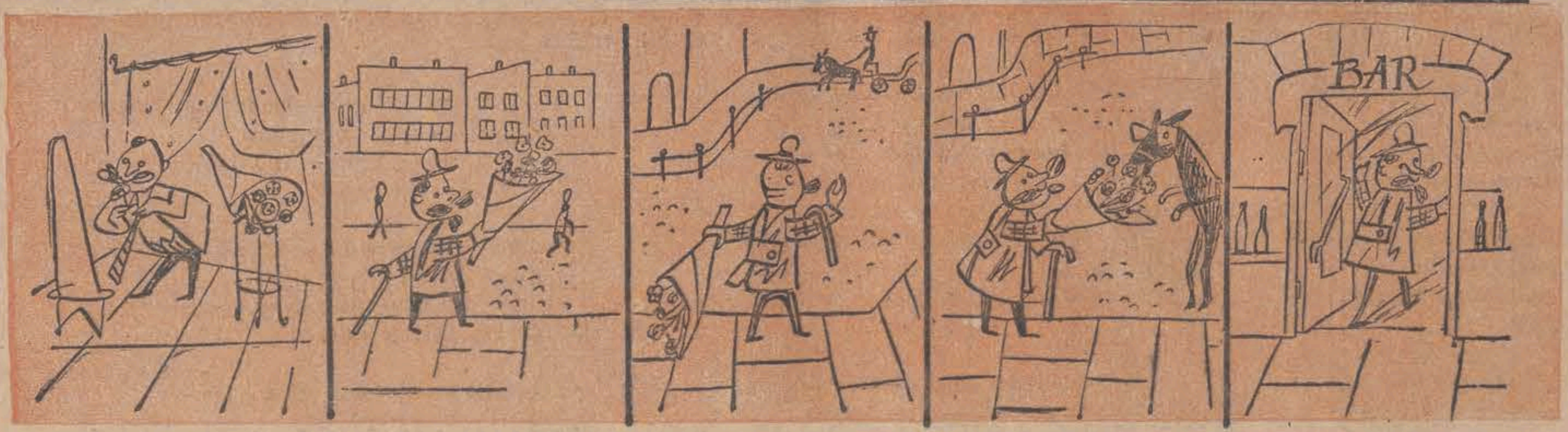
Tymoteusz Koperta znajdował się już w drzwiach wyjściowych, a po chwili, zatrzasnąwszy je, zniknął mi z oczu.

Byłem wolny.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Słoń-mędrzec

Było w Kalkucie mądre slonisko,
Co wytłumaczyć umiało wszystko
Słoń ten uczony szedł przez ulicę
I często mówił o polityce,
O ekonomii, kanalizacji
I o planowej aprowizacji.
Pytali słonia biedni Hindusi:
„Czemu dziś Hindus głodować musi?"
Słoń okulary z trąby swej zdejmie
I tak odpowie bardzo uprzejmie:
„Otóż, kochani obywatele.
W Indiach jest ryżu dobrego wiele
Wiele tu chleba, wiele herbaty,
Kraj to naprawdę bardzo bogaty,
Ale siedzicie nad pustą miską,
Bo jeden szczegół psuje tu wszystko".
„Jakiż to szczegół, że lud nasz cały
Chodzi zbiedzony i wygłodniały?"
Ten i ów słonia mądrego pyta,
Każdy nerwowo za kły go chwyta,
Każdy za uszy słonia tarmosi
I o odpowiedź gorąco prosi.
Proszą go zduny, cieśle, tragarze,
Proszą garncarze, szewcy, murarze,
No, jednym słowem prosi biedota
Taka zgłodniała, taka spod płota.
A słoń, mądrością podobny sowie,
Tak im po chwili głośno odpowie:
„Chociaż kraina wszystkiego pełna,
Szkodzi jej drobny szczegół: bawełna,
Która tu rośnie, bo Brytyjczycy,
Dzierżąc bawełnę w swojej prawicy
I mając statki bawełny pełne,
Wciąż owijają wszystko w bawełnę.
Choć obiecują i to i owo,
Lecz wam się żyje bardzo głodowo".
I klnąc brytyjską aprowizację,
Słoń tak zakończył swoją orację,
Podniósłszy trąbę swoją do góry,
Do nieba w gęsto zebrane chmury:
„Dopiero wtedy się wyzwolicie,
Kiedy Anglików, moi najdrożsi
W tę moją trąbę wielką puścicie —
Słoń-mędrzec bardzo o to was prosi!"



Rys. Regina Kańska

JAN CZARNY

KALOSZE

Maczek, urzędnik którejś - tam kategorii był człowiekiem przedwojennej daty. Nic więc dziwnego, że stojąc w holu teatrzyku „A cio to?“, wymachiwał energicznie parasolką w najlepszym przedwojennym gatunku i krzyczał:

— Skandal! Kto to widział przed wojną, aby w kulturalnej placowce ginęły kalosze — i to jakie kalosze... Przedwojenne Pepegi...

Ponieważ publiczność nie zdążyła jeszcze po przedstawieniu opuścić holu, administracja teatru wychodziła ze skóry, prawdopodobnie zdartej z publiczności, aby uspokoić Maczka. Impresario Macior, mężczyzna 185,5 cm. wysokości giął się przed Maczkiem w ukłonach, jak ów przedwojenny człowiek - guma, Miecio Mieczkowski.

— Ależ panie radco, jesteśmy gotowi iść na wszelkie...

Maczek był nieubłagany, ruszał, jak karaluch, wąsami, straszył milicją, Nadzwyczajną Komisją i ministrem Handlu i Żeglugi. Dopiero kiedy impresario Macior zaproponował stałe passe partout do teatru, Maczek wspomniał sobie w duchu girlaski, biorące udział w re wii, w niegorszym, niż jego przedwojenne kalosze, gatunku kobiety i ich piruety i postanowił przystąpić do pertraktacji. Stanęło na tym, że Maczek zgodził się łaskawie przyjąć w zamian za stracone Pepegi przedwojenne, kałosze, należące do ob. Maciora, mimo, że te choć nowe, były wyprodukowane już po wojnie. Ponieważ było już późno, bileter skoczył po dorożkę, która opłacona przez administrację teatru, odwiozła pana Maczka wraz z jego żoną Amalią do domu. W dorożce Maczek wobec żony i dorożkarza miał minę zwycięskiego torreadora, któremu udało się w obecności samego Franco stu bykom naraz związać ogony w jeden supeł. Nic też dziwnego, że żona nie śmiała otworzyć ust, a dorożkarska szkapa... załatwić swych potrzeb naturalnych....

Wypadek z kaloszami miał zaważyć na życiu pana Maczka, bo, miał być przełomowym wydarzeniem w jego życiu. Nazajutrz Maczek wstał rześki i energiczny, jak gdyby nie dźwigał na karku, okrytym przedwojenną popelinową koszulą sześćdziesięciu trzech lat i udał się do biura. Wieczorem poprosił żonę o ubranie, które nosił dotychczas tylko w niedzielę i udał się do teatru.

— Trzeba tam zajrzeć — rzekł do żony. — Wiesz, przecież, że kalosze obecnej produkcji, to nie to co przedwojenne Pepegi...

Nałożył kalosze Maciora i wyszedł.

To zaczęło się powtarzać coraz częściej. Maczek korzystając z posiadanego passe-partout, przedzierżgnął się w stałego bywalca teatrzyku „A cio to?“. Jakoteż wkrótce, ku zdziwieniu żony, zaczął czernić szpakowate wąsy i zwracać baczną uwagę na swą powierzchowność.

W teatrze witał go pokorny Macior w obawie, aby nie wrócił do sprawy z kaloszami, stereotypowym „Panu radcy moje najniższe..

W domu Maczek zjawiał się dopiero po przedstawieniu i do późna w nocy opowiadał żonie o teatrze „A cio to?“, który swym poziomem dorównywuje teatrzykom rewiowym w najlepszym przedwojennym gatunku. Żona wysłuchiwała dytyrambów Maczka ze stoickim spokojem, jako że była stworzona na żonę Maczka.

Przychodząc do teatru Maczek klepał protekcjonalnie Maciora po łopatkach, nazywając go „kochanym dyrektorkiem“ i uśmiechając się konspiracyjnie, oddawał garderobianej swoje kalosze. Służba już znała Maczka na pamięć i nazywała go „panem radcą“. Pan radca stał się tymczasem nieodzownym teatralnym rekwizytem tak, jak budka suflerska, strażak lub pęknięte lustro w garderobie. Od czasu wydarzenia z kaloszami grano już trzeci program: „A ku ku“, — „Czerwony Kapelusik“, „Dosiego roku“. We wszystkich trzech programach brały udział te same tancerki, według słów Maczka, kobiety wykonujące piruety w najlepszym przedwojennym gatunku...

W międzyczasie dyrekcja teatrzyku „A cio to?“ zaopatrzyła jedno z krzeseł na widowni w wizytówkę Ambrożego Maczka, rezerwując je dlań na stałe i poniosła dwukrotnie koszty naprawy kaloszy powojennej produkcji. Pan Ambroży poznawał tymczasem zakulisowe życie teatru. Bywał w garderobie tancerek, przynosił im kwiatki, częstował miętówkami, pomagał różować policzki, pudrować łabędzie, i kacze karczki, zapinać zatrzaski, szczypał kobiety wykonujące piruety w łydki. Kiedy zaś powiększył grono aniołków, zasłużony na niwie teatralnej sufler Szeptaś, wszyscy jednogłośnie okrzyknęli Maczka suflerem teatru „A cio to?“ Maczek zgolił czernione dotąd z pietyzmem wąsy i z zapałem przystąpił do pracy.

Gdzieś około Wielkanocy, kiedy Maczek bez reszty oddał się pracy w budce suflerskiej, pani Maczkowa sprzątając przed świętami, znalazła za szafą kolosze męża f-my Pepege. Podejrzewając, że sprawa kaloszowa była jedynie tylko zręczną mistyfikacją męża, który w ten sposób przebił sobie drogę do garderoby girlasek teatrzyku „A cio to?“, postanowiła wszcząć kroki rozwodowe. Szybko jednak zaniechała ich, dowiadując się, że jej niewierny małżonek wyrusza z teatrzykiem „A cio to?“ w objazd po prowincji, tym razem, jako wykonawca roli ciapciusia w skeczu małżeńskim...

— Jako męża straciłam go, ale formalnie lepiej zostać jego żoną— myślała, godna współczucia Amalia... — Przynajmniej będę miała jakieś prawa do schedy w wypadku, gdy umrze jako wielki i bogaty artysta...

W CAŁYM KRAJU ODBYWA SIĘ ZBIÓRKA ZŁOMU



Rys. Henryk Tomaszewski

„Złom“, niesiemy, „złom“

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Repatriant Piętka

Przybył z za Bugu Piętka Teofil,
Jest tedy repatriantem.
Wiedział Teofil, że tu w Ojczyźnie
Nikt go nie puści kantem!

I rzeczywiście! Pur go powitał,
Jak rodzonego brata:
Dał mu sto złotych i talerz zupy,
Czym chata — ach! — bogata

Więc się rozczulił Piętka Teofil,
Mówić był ledwie w stanie,
Wreszcie przemówił i drżącym głosem
Poprosił o mieszkanie.

Posmutniał bardzo zacny urzędnik
I rzecze minorowo:
— Sam pan się musi, panie repatriant,
Starać o dach nad głową!

Teofil Piętka, człowiek nieśmiały,
— Dzięki! — rzekł — za tę radę.
Lecz czy Pur mógłby pour Teoś Piętka
wystarać się o posadę?

Posmutniał bardzo zacny urzędnik
I odparł mu z przejęciem:
— Sam pan się musi, panie repatriant,
Postarać o zajęcie!

Teofil Piętka, człowiek nieśmiały,
Uprzejmie rzekł: — Czy mogę
Poprosić Pura na pierwsze koszty
O większą zapomogę?

Posmutniał bardzo zacny urzędnik
I palnął krótką mówkę,
Że Pur na główkę nie daje więcej,
Niż tylko złotych stówkę!

Teofil Piętka, człowiek nieśmiały,
Pięścią dwie roztarł łezki,
I szepnął smutno, szepnął boleśnie:
— O losie ty mój Pur-ewski!



Rys. Regina Kańska

— Czy nie sądzi pan, że nasza rozmowa trwa trochę za długo?

STANISŁAW SOJECKI

Do emigrantów dobrej woli

Wrócić — nie wrócić? Oto pytanie —
I z tą walczycie myślą:
Czy nad Tamizą wolne koncnie,
Czy życie tu nad Wisłą.

Do tych pagórków i łąk zielonych,
Gdy serca wasze się modlą —
Poprzez tęsknoty ciężką zasłoną
Tracicie trzeźwy pogląd.

„Że Polskę tylko wy budujecie" —
To hasło u was w modzie;
Jedna jest tylko Polska na świecie —
Reszta to zamki na lodzie!

Kochacie Polskę — chętnie w to wierzę —
To nawet brzmi lirycznie.
Lecz, gdy my tutaj kochamy szczerze,
Wy tylko platonicznie.

Słowami nową Polskę budować —
Wierzcie — trudno piekielnie.
Cegła — materiał lepszy od słowa —
Trzeba się wziąć za kielnię.

I zamiast słuchać, co wam do ucha
Zmyślona plotka wyje —
Lepiej z nad Wisły echa posłuchać —
Jak nasza Polska żyje!

TADEUSZ SMIELIŃSKI

Fraszka polityczna

Ileś tam lat temu —
Trudno tu obliczać —
Prawica szła w prawo,
A w lewo lewica.

Dziś lewica prosto
Środkiem drogi bieży,
Prawica natomiast
Szuka krętych ścieżek.

GEO LONDON

PANI I JEJ GORYL

Gdyby ta historia nie było prawdziwa miałbym zastrzeżenie czy ją opowiedzieć czytelnikom, w obawie, że uznają ją za nieprawdopodobną. Ale ja sam podziwiałem na własne oczy widowisko, które przed paru dniami mieli goście hotelu „Arcachon".

Otóż pani Hoyt, jedna z tych bogatych Amerykanek, o których każdym poruszeniu donosi New-York Herald i Chicago Tribune, zamówiła w tymże hotelu luksusowy apartament. W oznaczonym dniu i godzinie oczekiwali znakomitą klijentkę ustawieni w szereg: zarządzający (niegdyś bogaty południowy Amerykanin, zrujnowany przez spadek peso), portier, posiadający wieloletnią rutynę swego zawodu, wysmukli boy'e i barczyści numerowi. Nadjechała pani Hoyt, jasna, młoda, urocza. Towarzyszyły jej dwa psy, co jest rzeczą normalną, za psami szła pokojowa, co jest również normalne. Za pokojową kroczył wspaniały murzyn, co jest już nieco zadziwiające. Murzyn niósł w ramionach, z macierzyńską czułością, lalkę ubraną w biały czepeczek i białą sukienkę z przepięknych koronek. Z czepka zwisał długi woal. Przed wejściem do windy, pani Hoyt uniosła go nagłym lekkim ruchem i zapytała z niepokojem: „How is the baby?"

„Baby" ukazało się nam w postaci ośmio-miesięcznego, jak niebawem dowiedzieliśmy się, goryla.

Trzeba przyznać Amerykanom, że pomimo bogactwa są najbardziej przystępnym narodem na świecie. W następnych paru minutach zarządzający, boye i numerowi poznali historię goryla: został on sierotą z winy męża pani Hoyt, który na polowaniu w Zanzibarze zastrzelił jego rodziców. Po „party" w Zanzibarze pani Hoyt przygarnęła dwoje dzieci po nieżyjących gorylach, jedno z nich oddała Muzeum Paryskiemu, drugie, o słabszym zdrowiu, zatrzymała dla siebie, by je wychować, jak przypuszczam, na amerykański sposób. Goryl stał się, oczywiście, najbardziej znanym gościem hotelu Arcachon. Zamieszkał w luksusowym apartamencie tej, którą, zdaje się, bez przesady można nazwać jego przybraną matką. Był tak pielęgnowany i pieszczony, jak wiele francuskich dzieci nigdy nie będzie. Codzień rano, po przebudzeniu, jak przystało na 100 proc. amerykanina, zjadał porcję poridgeu oraz pił tylko wodę i mleko. Sprowadzono mu najlepsze miejscowe owoce i najsoczystsze grape-fruity. By mu zapewnić doskonały wypoczynek, wybrano mu najwygodniejsze ze wszystkich wygodnych łóżek, jakie hotel posiadał. Jego pani układała go do snu, podczas gdy murzyn usypiał go piosenką Zanzibaru: „Sleep, darling, sleep, till twillight".

Pani Hoyt twierdzi, że goryl wymaga niezwykle czułej opieki i że z nadejściem zimy wyjedzie z nim na Kubę, gdzie w trosce o jego zdrowie wynajęła już willę.

Pewnego popołudnia złożyłem wizytę mecenasowi Lecoq de Kerland, który zajmował w hotelu Arcachon pokój sąsiadujący z apartamentem goryla, tylko, oczywiście, o wiele skromniejszy. Zaledwie zacząłem mówić, gdy pan Lecoq de Kerland położył palec na ustach:

— Pan będzie łaskaw mówić nieco ciszej— poprosił — goryl odbywa siestę. Nie znosi, gdy mu się przeszkadza.

Wyszedłem na palcach odprowadzony niechętnym wzrokiem murzyna czuwającego na korytarzu. Wokół nas bezszelestnie poruszała się służba hotelowa, porozumiewając się przyciszonymi głosami. To wszystko wywierało wrażenie!

W końcu pani Hoyt, goryl i ich świta opuścili hotel, pozostawiając po sobie wrażenie różnie oceniane.

Pewnego ranka udali się na dworzec Arcachon, pani Hoyt poleciła kupić bilety dla siebie, pokojowej, murzyna i psów. Goryl w płaszczyku i kapturku, z twarzą zakrytą woalem, niesiony przez murzyna podróżował bezpłatnie, jak dziecko, które nie ukończyło jeszcze trzech lat.

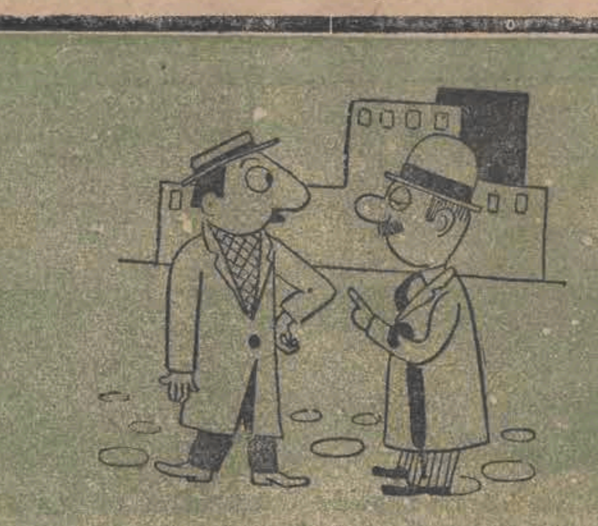
Na peronie znadowało się wówczas około czterdziestu dzieci z kolonii letnich. Jechały zapewne do Paryża lub Bourdeaux. Choć udawały się w tę samą stronę, co pani Hoyt z gorylem i świtą, to nie wsiadły jednak do tego samego pociągu. Był to bowiem pociąg luksusowy, a dzieci z kolonii szkolnych jeżdżą, jak wiadomo, trzecią klasą, prawda?

Trudno, nie każdy może być gorylem!



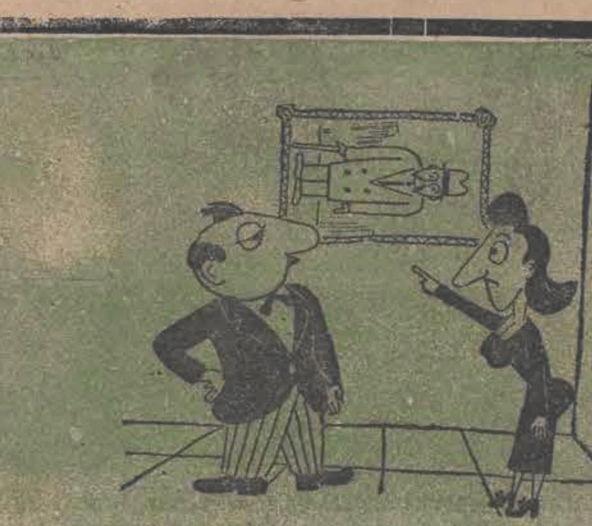
Rys. Jan Linka

— Doniero teraz, kiedy wyrwałem panu wszystkie zęby, moge stwierdzić, który jest zepsuty!



Rys. Jan Linka

— O której godzinie spotkamy się tutaj jutro?
— Wtedy, jak będziesz miał czas.
— W porządku! Przyjdę, jak będę miał czas, ale pamiętaj, nie spóźnij się!



Rys. Jan Linka

— Dlaczego portret wuja Hilarego powies: ś w p p zek?
— Bo wuj Hilary jest chory i lekarz zalecił mu pozycie leżaca!

HORACY SAFRIN

Krawat

Droga Musieńko —

Zapytujesz mnie w ostatnim liście, dlaczego się rozwiodłem.

Mógłbym ci odpowiedzieć po sędziowsku: „uchylam to pytanie".

Mógłbym Ci odpowiedzieć stereotypowo: „charaktery nasze nie zgadzały się".

Mógłbym Ci odpowiedzieć bombastycznie: „jak Dant za życia — przeszedłem przez piekło..."

Nic podobnego. Bezpośrednią przyczyną mego rozwodu był... — krawat. Wiesz, taki jaskrawy, pasiasty, usłany miekko wśród piżam i desusów przeciętnej sklepowej wystawy —

Żona moja była stworzeniem naogół nieziemskim. Przypiąć jej skrzydła, a śmiało paradować mogła jako aniołek na boticellowym obrazku. Dała zresztą dowód swego anielstwa, ulatując ode mnie po upływie szesnastu miesięcy.

Mimo swą, że tak rzekę, niebiańską naturę, miała jednak sporo ludzkich upodobań i słabostek. By sprostać jej, nieco wygórowanym pretensjom na punkcie męskości, starałem się przybrać wygląd możliwie... uwodzicielski. W tym celu ściśle przestrzegałem czterech zasad śp. gwiazdora filmowego Adolfa Menjou:

1) nosiłem szelki, by uwydatnić nienaganne fałdy swych pantalonów.

2) Zmieniałem systematycznie aster w butonierce.

3) Nie pokazywałem się na ulicy z odkrytą głową.

4) Goliłem się codziennie.

Ubierałem się przy tym z wyszukaną elegancją. Pantofle moje przylegały ściśle do nagniotków, a wcięty dwurzędowy tużurek był ostatnim krzykiem chorobliwej wyobraźni mistrzów paryskich, półsztywny kołnierzyk ciążył jak przycisk na moim trzecim podbródku.

Gorzej było z krawatem. Był on jednym dysonansem w tej idealnej szewcko - krawieckiej harmonii. Skupywany hurtowo, kłócił się stale to z kratką koszuli, to z deseniem marynarki, to z przyrodzoną czerwonością mego nosa. Trudno: niema róż bez kolców.

Aż pewnego razu, mijając korso, stanąłem oczarowany. Z witryny magazynu mód „a la ville de Londres" śmiał się do mnie krawat: unikat swego rodzaju, wyjątek potwierdzający smutną regułę.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie na garnitur, wpadłem jak bomba do sklepu. Uszczęśliwiony zapłaciłem, uścisnąłem dłoń osłupiałemu kupcowi i, co krok wyskoczy pognałem do domu.

Przymierzyłem go przed zwierciadłem. All right. Z miejsca zauważyłem jak wargi moje wykrzywiają się głupkowato - zadowolonym grymasem. A ponieważ nie mogłem sam siebie poklepać po ramieniu, więc uczyniłem to w lustrze.

Nazajutrz pojechałem do Krynicy, gdzie żona wypoczywała na łonie swej najbliższej rodziny. Lało jak z cebra, po czym niebo rozpogodziło się a na firmamencie zawisła pasiasta tęcza. Studiowałem wnikliwie jej barwy. Porównanie wypadło bezsprzecznie na korzyść krawata.

Z bijącym sercem zapukałem do drzwi. Żona otworzyła mi, uśmiechnęła się anielsko: „Jak się masz?" i dodała po chwili: „Co za wstrętny krawat!".

Byłem spiorunowany tym bezapelacyjnym osądem. Śniadanie jadłem bez apetytu, na spacerze odwracałem się ostentacyjnie od cudów karpackiej przyrody. Mówiłem cicho, z przekąsem.

Przy obiedzie zauważył szwagier:

— Masz bardzo elegancki krawat!

— Tak jest, rzeczywiście — przytaknęła żona i rzuciła pod moim adresem:

— Widelca nie przekłada się z lewej ręki w prawą.

Podczas siesty poobiedniej doszło do walnej rozgrywki.

— Co to ma znaczyć? — zagadnąłem stanowczym tonem.

— A mianowicie?

— Twoje dwoiste zdanie o krawacie...

— Krawat jest bardzo ładny — odpowiedziała rzeczowo. — Nie podoba mi się jedynie tylko dlatego, bo... ty go nosisz.

Stało się. Do trzech tygodni byliśmy rozwiedzeni.

Sędzia rozwodowy wzruszał wprawdzie ramionami, dociekając głębszej przyczyny naszego nieporozumienia.

Mądrala. Spróbował by on poślubić anielicę, ubierać się a la Adolf Menjou i dzień cały uganiać się za krawatami...



Rys. Lo-lou

— Co to dziadziu, śnieg na dworze?
— Nie, kochanie! Zbiórka uliczna!

Rozstrzygnięcie konkursu „Prywatna inicjatywa"

I Zakończenie — autor KAZIMIERZ WOJCIECHOWSKI — SKIERNIEWICE, Senatorska 15 — otrzymał 1716 głosów i nagrodę w wysokości 2.000 zł.

II. Zakończenie — autor I. SZACKI — WARSZAWA, Bank Gospodarstwa Krajowego — otrzymał 1548 głosów i nagrodę w wysokości 1000 zł.

III. Zakończenie — autor FRA-DA (prosimy o pod nie adresu) — otrzymał 1213 głosów i nagrodę w wysokości 500 zł.

Z pośród głosujących nagrody książkowe wylosowali:

Stanisława Jerzego Leca — „Spacer Cynika":

MARIA KALETÓWNA, KONIN, Szpitalna 4 m. 12.

E. SŁOŃSKI, ŁÓDŹ, Św. Jerzego 5/7 m. 18 III blok.

MARIA JASIEŃSKA, WARSZAWA. Paryska 24 m. 1.

WIESŁAW MISIAK, ŁÓDŹ, Napiórkowskiego 83.

Jana Huszczy: „Łbem o ścianę":

BRONISŁAW KUPSIK, KONIN, Szpitalna 4 m. 2.

M. WESOŁOWSKA, MARYSIN WAWERSKI, k. Warszawy, ul. Cedrowa 35 m. 8.

St. KOZŁOWSKI, WARSZAWA, ulica Chmielna 34 m. 18.

Pawła Hertza i Jana Rojewskiego „Z naszej loży":

MARIA KARWACKA, KONIN, Wiejska 17.

IRENA TANEWSKA, WARSZAWA. Piusa 22 m. 26.

JADWIGA TUKOWA, TOMASZÓW MAZOWIECKI, Kramarska 15.



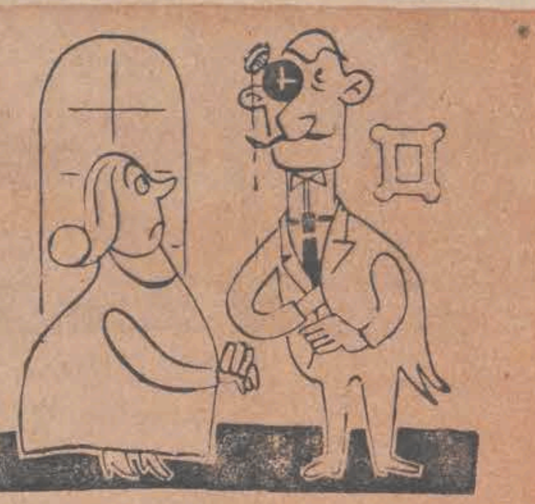
Rys. Zbigniew Kiulin

— Ale tu teraz tłok!
— A pan już u nas siedział?
— Nie. Byłem tylko dyrektorem tego więzienia.



Rys., Zygmunt Ulatowski

— Jak mi nie rzucicie forsy, to będę grał jeszcze dwie godziny!



Rys Lo-lou

— To straszne! Gdzie mój zegarek?

RAFAŁ WOLTEN

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem obywatelem jednego miasteczka na Zachodzie i od roku nie wiem, jak się to miasto nazywa. A bo to tak było. Za niemieckich czasów nazywało się ono (niby to miasto) Zygberg. A potem, Panie Redaktorze, ci Niemcy zwiali i przyszliśmy my. No, i trzeba było nadać temu Zygbergowi jakąś nazwę. Ponieważ ob. burmistrz mieszkał przed tym w Kuszpietowie pod Pińskiem, więc nazwał miasto Kuszpietowem nad Cycanką (to jest taka mała rzeczka). I nawet się wszystkim, Panie Redaktorze, ta nazwa podobała, bo przecież taka polska, no, nie? Ale potem przyszedł inny burmistrz, który urodził się w Lipiejkach Mniejszych (to jest pod Skrzepielowem, Panie Redaktorze). No, i przechodzę raz przez rynek, a tu widzę na magistracie napis: — Magistrat m. Lipiejki Mniejsze nad Cycanką (żeby nie pomylić z tamtymi Lipiejkami!). Więc myślę sobie, a niech tam Lipiejki... to też ładnie brzmi. I tak zostało, ale tylko 2 tygodnie, bo pewnego dnia przyszło pismo z Centralnego Planowania Nazw Geograficznych na Zachodzie (CUPNGZ), że b. Zygberg ma się od dziś nazywać Szczodrzobrzedrzychczyce, bo tak się niby za śp. Piastów nazywał.

Zmartwiło nas to trochę, bo nazwa była trochę przydługa, ale że to nazwa piastowska... zgodziliśmy się. Tylko wszyscy obywatele miasta musieli się uczyć tej nazwy przez 2 tygodnie na pamięć, a zawiadowca stacji Ciupajko zapytany przez podróżnych o nazwę stacji zdążył zawsze powiedzieć tylko: — Szczodrzob... I nie kończył, bo pociąg już był daleko.

Ale to jeszcze nie koniec naszych udręk, Panie Redaktorze! Po 3-ch tygodniach przyszło z Głównego Urzędu dla Spraw Ziem Odzyskanych zawiadomienie, aby miasto nazwać imieniem najbardziej zasłużonego obywatela w okolicy. Długośmy się nad tym zastanawiali, który z nas jest najbardziej zasłużonym pionierem i wreszcie wybraliśmy delegata PUR-u ob. Brzęc - Szczyckiego. Dzięki temu złotemu człowiekowi wszystkie transporty repatriantów ominęły szczęśliwie nasze miasto. Tenże kochany człowiek urządza co tydzień wiece w kinie „Wolność" pod hasłem „Poznaj swe obowiązki względem braci z za Bugu". Czyż więc jego zasługi nie są bezsprzeczne? Urządziliśmy przeto wielką uroczystość i przemianowaliśmy miasto na Brzęc - Szczytowice. Bohater dnia był bardzo wzruszony i powiedział w trzygodzinnym przemówieniu, że postara się użyć naszej doli. I użył! Ta szuja, ten łotr, ten łobuz zabrał wszystkie pieniądze z kasy PUR-u, cztery elektroluksy, dwa aparaty radiowe i maszynę do pisania i uciekł gdzie pieprz rośnie. Oczywiście, zamazaliśmy tę wstrętną nazwę Brzęc - Szczytowice i... zostaliśmy znów bezimiennym miastem. Z tego wszystkiego to tylko malarz Bzdyczułko jest zadowolony, bo co dwa tygodnie nowy szyld nad magistratem maluje. Ale co mamy powiedzieć my, biedni obywatele miasta . . . . . ?

Więc zwracam się do Pana, Panie Redaktorze i pytam, czy nie można by zmieniać nazwy naszego miasta przynajmniej 2 razy do roku a nie co 2 tygodnie? I żeby te nazwy można było wymówić w czasie nie dłuższym, jak dwie minuty.

Pozostaję

z głębokim poważaniem

Obywatel b. m. Zygberg
b. m. Kuszpietów n. Cycanką
b. m. Lipiejki Mniejsze
b. m. Szczodrzobrzechdrzychczyce
b. m. Brzęc - Szczytowice
a obecnie m. . . . . .



Rys. Zbigniew Kiulin

— Co z panem panie Linka?
— To żona...: Żebym nie zapomniał, że jutro jej imieniny!

Kawaler de Montbarey spędził jakiś czas na prowincji. Kiedy wrócił, przyjaciele ubolewali nad towarzystwem, w jakim musiał się obracać.

— Mylicie się — odparł — dobre towarzystwo jest w tym mieście takie jak wszędzie, a liche jest wyborne.

* * *

W towarzystwie, w którym znajdował się Szuwałow, eks-kochanek carycy Elżbiety, ktoś pytał o jakiś szczegół, tyczący się Rosji. Poseł Chabrillant rzekł:

— Panie Szuwałow, niech nam pan to opowie. Musi pan wiedzieć, pan, który byłeś tamtejszą Pompadour.



Rys. Zenon Wasilewski

— Niestety, nasz pan zgasł wczoraj...
— A to mam pecha! Właśnie chciałem ubezpieczyć go od ognia!



Rys. Zbigniew Kiulin

— Czy mogę prosić o ogień?



Rys. Zbigniew Kiulin

— Co oskarżony ma na swoje usprawiedliwienie?
— To że w dniu przestępstwa miałem silny katar.
A — co to ma do rzeczy?
— Jakto co? Żebym go nie miał, wiedziałbym czym to pachnie!

Odpowiedź redakcji

„Jó-Mi" — Piastów. Dziękujemy bardzo za miłe pozdrowienia. Niestety, z nadesłanego materiału nie skorzystamy.

Al. Roh. — Katowice. Nie wybraliśmy narazie żadnego rysunku. Może coś innego.

Żwan — Kraków. List Pański sprawił nam dużo przyjemności. Przesyłamy uprzejme pozdrowienia.

K. N. — Łódź. Ten temat nie nadaje się na humoreskę. Zbyt już wyzyskany. Czekamy na oryginalniejsze pomysły.

Z. Konopka — Kraków. Prosimy o obiecany wycinek.

Gron. W. — Bielsko. Znajdzie Pan w jednym z następnych numerów.

Lub. 21 — Poznań. Następny konkurs ogłosimy w okresie gwiazdkowym.

Zbigniew — k. Szczecina. Wierszyk bardzo dowcipny, lecz forma literacka słaba. Może Pan opracuje na nowo?

Grab. — Katowice. — Chętnie skorzystamy. Prosimy nadesłać.

Zosia — Lublin. Rozumiemy intencje. Wierszyk słaby.

B. Sztattler Prosimy o podanie adresu.

Jerzy Pomianowski. Jak wyżej.



Rys. Zbigniew Kiulin

— Czy oskarżony nie wie, że za kradzież grozi kara więzienia?
— Wiem i dlatego właśnie chciałem zabezpieczyć byt rodzinie.

UWAGA

Od następnego numeru będziemy zamieszczali rysunki Kazimierza Grusa p. t. „Z zeszytu małego Kazia"

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi ukazują się co tydzień. — Redakcja. Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57
Redagują: Stanisław Sojecki. Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-41
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. D 011426